

Adam Wiaryga Minieski.

# Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

## ROZDZIAŁ I.

Powoli, krok za krokiem, toczył się po bruku wóz sanitarny „Czerwonego Krzyża”.

Wieczór był letni, ciepły, pogodny. Z otwartych okien płynęły jasną falą światła, pozwalając oczom obcych wnikać do wnętrza zacisz domowych — od plant szedł upojny zapach lip rozkwitłych, zmieszany z delikatną wonią róż.

Na ulicy rojno było jeszcze i gwarno. Dużo osób, korzystając z pięknej pogody, używało przechadzki — inni wracali z teatru, z kinematografów lub spieszyli do kawiarni.

Szare mundury wojskowe mieszały się z cywilnymi ubraniami mężczyzn i różnobarwnymi, powiewnymi sukniemi kobiet.

Na przejeżdżający wóz z rannymi mało kto zwracał uwagę.

Takie wozy nie były już elektryzującą nowością. Wszak od początku wojny tyle ich przeciągnęło i jeszcze przeciąga codziennie.

Tłum przywykł, zobojeźniał.

Jakaś stara, czarno ubrana, przygarbiona kobieta zatrzymała się i wbiła wzrok w toczący się zwolna ambulans. — Wargi staruszki zadrżały nerwowo: trwoga, czy nadzieja. Któryś z mężczyzn podbiegł i podał jednemu z rannych papierosnicę.

Wóz potoczył się dalej, witany spokojem, obojętnością, szmerem rozmów, hałasem kroków, szelestem sukien, zwykłym rozgwarem miejskim.

Ludwik Rażycki w milczeniu palił papierosa i wzrokiem chciwym, spragnionym spoglądał z ambulansu na ulicę i napawał słuch tym łagodnym gwarem, płynącym od ruchliwej masy ludzkiej.

Światła... spokojne rozmowy... zapach kwiatów... kobiety...

Czy to jawa, czy sen tylko zwodniczy, z którego przyjdzie obudzić się do rzeczywistości wśród piekielnego grania armat, w chaosie krwi, grozy i zniszczenia.

Gdzie pozostała ta straszliwa furja wojny, przemawiająca rykiem tysięcy dział, wstrząsająca umęczoną ziemią w konwulsyjnych rzutach, plująca krwią, śmiercią i zagładą.

Zdawałoby się, na kilometry licząc, że odległość nie tak wielka, przebyć ją wszakże można w krótkim czasie, a jednak to bardzo, bardzo daleko.

Rażycki nagle syknął z bólu. Lekkie wstrząśnienie wozu wywołało silniejszy ból w zwieszanej bezwładnie na temblaku ręce.

Jeden z cięższych rannych jego towarzyszy jęknął głośno, ale ten jęk zgłuszyła muzyka, grająca w letniej kawiarni na plantach „Habanerę” z „Carmen”.

W dwóch innych narożnych kawiarniach gorzały jasno światła. Przy ustawionych na dworze stolikach nie było wolnego miejsca, kelnerzy zrywali się jak w ukropie, roznosząc kawę, herbatę, lody, ciastka, podając gazety.

— Mój Boże, to chyba do nieba już człowiek jedzie! — szepnął jeden z żołnierzy, upojony widocznie blaskiem światła, zapachem kwiatów, dźwiękami muzyki i szmerem fali ludzkiej.

— Grają... Sliczna muzyka.

— O! Jak też to tu dobrze!

— Co oni tutaj o wojnie wiedzą...

W oczach jednego z rannych błysnęły złe ogniki. Wysunął głowę, spojrzał na jaśniejące światłem, przepełnione kawiarnie, na te gwarne tłumy, oblegające stoliki.

— Psiakrew! — mruknął przez zęby — Siedzą tu sobie, jak u Pana Boga za piecem, jedzą, popijają, jeszcze im muzyka przygrywa!... Bawią się panowie! A ty, człowiecze... Psiakrew!...

Nie dokończył swojej myśli i zaciął się w milczeniu, w ponurej, chłopskiej zawziętości.

Rażycki rozumiał, że powinien przemówić, wytłumaczyć temu towarzyszowi doli i niedoli żołnierskiej; że to, co widzi przed sobą, jest rzeczą zupełnie naturalną, że pomimo okrucieństw i grozy wojny życie musi iść swoją drogą.

Wiedział, że można o tem mówić dużo, dużo, ale nie powiedział nic, bo poprostu nie chciało mu się. Był zanadto zmęczony, osłabiony i oszołomiony, aby myśli swoje ubrać w słowa, a przytem coraz silniej zalewała mu duszę fala żywiołowej radości.

Oto jest! Żyje, istnieje, oddycha powietrzem rodzinnego miasta, słyszy muzykę, widzi kobiety!...

Wyteżył wzrok. Może wśród gości kawiarnianych odnajdzie jaką twarz znajomą.

Ta starsza pani z siwiejącymi włosami, w czarnej sukni, przypomniła mu matkę, a ta obok dziewczynka, z długimi, blond warkoczami, jakże podobna do Janki.

Nie! To nie one!... Matka hołduje staroświeckim pojęciom i kawiarni nie uznaje, a zwłaszcza nie poprowadziłaby tam Janki.

Siedzą w domu, zabierają się już może do snu... Mama jest smutna, bardzo smutna, bo od dwóch tygodni nie miała listu z pola...

Mówi do Janki: „Mój Boże, co tam teraz porabia nasz Ludwik. Czy zdrow?” A Janka wzdycha smutnie i wstrząsa swoimi jasnymi lokami, niepoślusznymi szpilkom, ni grzebykom.

I nie wiedzą obie, nie przeczuwają, że on blisko, że jutro już zobaczą się...

A to kto?! Ta wysmukła, ciemnowłosa panna, czy to nie kuzynka Anielka Zurakowska?

Ależ skądże... Anielka na wsi z mężem. Pani Walczakowa... Otrzymał przecież wiadomość o jej ślubie.

W pierwszej chwili było mu to nieprzyjemnie, odczuł coś, jakby poryw niechęci ku Walczakowi.

Ale to minęło prędko. Wszak nie miał zamiaru żenić się z Anielką, marzył o niej przez czas jakiś, ot i wszystko. Sliczna dziewczyna i dobra, to prawda, tylko trochę za poważna, życie zanadto seryo bierze.

Niechże sobie będzie szczęśliwa z Walczakiem, jeżeli go sobie tak upodobała.

Myśli Rażyckiego odbiegły od Anielki. Wydało mu się, że przy jednym ze stolików rozpoznaje pełną, różową twarz pani Ady, że to na jej fantastycznie wygiętym kapeluszu powiewają tak śmiało białe pióra — rozróżniał nawet ten jej charakterystyczny, srebrzysty śmiech.

Ambulans minął kawiarnię, Ludwik nie mógł więc stwierdzić, czy go wzrok i słuch nie omylił...

Pani Ada!

Przez cały czas pobytu na froncie bojowym nie myślał o niej, nie napisał ani razu, ale teraz na wspomnienie ładnej brunetki zabiło mu serce żywiej i silniej zapulsowała krew w żyłach.

Ileż to chwil rozkosznych spędził w towarzystwie tej uroczej kobietki, która umiała się bawić i szaleć do zapamiętania.

Roześmiał się sam do siebie. A cóż przeszkodzi odnowić te miłe wspomnienia?

Może pani Ada pognewalała się, że nie dawał znaku życia o sobie? Teraz przeprosi ją — tem miłszą będzie zgoda.

Zresztą pani Ada, czy inna — wszystko jedno! Dość, że jest, zobaczy przyjaciół, znajomych, matkę, siostrę — bliskie, miłe twarze — odżyje życiem normalnem, odeгна od siebie precz krwawą zmore śmierci.

Kto śmierci spojrzał w oczy — ten dopiero umie cenić życie!

Ambulans zbliżał się do szpitala, ścigany dźwiękami muzyki kawiarnianej. Orkiestra grała teraz sentymentalnego walca wiedeńskiego.

Rażycki tonął w różowych marzeniach i z utęsknieniem myślał o dniu, który miał nastąpić.

Nagle drgnął, najobojętniejsi nawet z jego towarzyszy poruszyli się i wsłuchali.

W miłosne, rozmarzone tony walca wplątała się nuta inna, poważna, przejmująca, której z podziwem słucha obcy przybysz, a ze wzruszeniem zawsze każdy Polak.

Strażnik na wieży Maryackiej grał hejnał. To stary Kraków witał dzieci swoje, wracające z pola, z krwawych zapasów, jakby im chciał powiedzieć: czuwaj, czuwaj! i wytrwaj!

— — — — —

— Proszę się przyznać otwarcie, panie Ludwiku. Był pan mocno rozczerwony, że to ja pierwsza z pańskich znajomych odwiedziłam pana w szpitalu. No, dzisiaj ledwie pan wyszedł za bramę, już spotkał się. Nie poczyta pan tego przecież za zły omen, co?

— Ależ, panno Kornelio...

— Tylko bez towarzyskich grzeczności, między dwójkiem przyjaciół, jakimi, sądzę, że jesteśmy, to zbyteczne. Ja i tak wiem, co mam o sobie myśleć. Trudno, wiem, że jestem brzydka, nie mam wdzięku, nie umiem się podobać i tak dalej i tak dalej, ale ja się już dawno z tem pogodziłam. Moi rodzice chrzestni przewidzieli snąc odrazu, że zostanę starą panną, bo dali mi odpowiednie imię, Kornelia. Nie złorzecz mi zresztą, mogłoby być gorzej, na przykład Kordula lub Pulcherya. Ale mniejsza z tem, do panien na wydaniu się nie zaliczam, a kolega ze mnie niegorszy, prawda?

— Najlepszy! — odpowiedział zupełnie szczerze

Ludwik Rażycki — Nikt z moich znajomych i kolegów nie pamiętał tak o mnie, jak pani.

— Bo widzi pan, powiedział mi ktoś raz, że jestem stworzona na „siostrę ludzi”. Nie na kochankę, nie na żonę, ale na siostrę... Uznałam słuszność tego orzeczenia i staram się wypełnić moje przeznaczenie jak najlepiej.

Panna Kornelia Witowtówna roześmiała się wesoło, ukazując z poza szerokich warg brzydkie, szerokie, nierówne, żółtawe zęby.

Nie przesadzała wcale, mówiąc o swojej brzydocie. Oczy miała małe, zanadto ku sobie zbliżone, pozbawione oprawy brwi i rzęsów, o barwie jakiejś błękitnawo-wypłowiałej, cerę czerwoną, poznaczoną centkami piegów, usta szerokie, ordynarne w rysunku, nos zakrótki, nadmiernie zadarty, brodę zbyt wydłużoną.

Trzymała się pochyło, co uwydatniało jej wąskie ramiona i zapadłą pierś.

Jaskrawym, bolesnym niemal kontrastem odbijało się od tej niezwykle brzydkiej twarzy i mizernej postaci bogactwo prześlicznych, bardzo jasnych, popielatych, bujnych włosów. Tych włosów mogła jej pozazdrościć najpiękniejsza kobieta.

— Po co mi te włosy? — śmiała się nieraz Kornelia — Tylko kłopot z czesaniem i rozcieranie dla mnie i dla innych. Ile to razy, zwłaszcza o zmierzchu, zaczepiano mnie... Wystarczyło jednak, abym odwróciła się twarzą do natręta, a ulatniał się zaraz jak kamfora. Chętnie oddałabym te włosy, lub zamieniła na nieco zgrabniejszy nos, czy ładniejszą oczy.

Wogóle o niepowabnej powierzchowności swojej Kornelia wspominała często, nigdy jednak ze smutkiem lub goryczą, a zawsze dowcipnie i z humorem.

— Wyrodziłam się — opowiadała — matka moja uchodziła swego czasu za piękność, ojciec był bardzo przystojnym mężczyzną, siostry są wszystkie ładne, tylko ja jedna nie udałam się. Jak mi powiadano, podobna jestem, jak dwie krople wody, do jakiejś ciotecznej babki, która była niesłychanie brzydka i została starą panną. Dłaczego ta cioteczna babcia właśnie mnie za pośmiertny konterfekt sobie obrała, tego to już nie wiem. Taki widocznie był mój „pech”. Urodziłam się z piętnem staropanieństwa na czole. Dlatego też rodzice pozwolili mi wyjechać na studia, bo od najmłodszych lat moich trapił się: co z nią będzie, kto ją weźmie. No i wyfrunęłam w świat, na swobodę, z naszego dosyć szczupłego i dusznego dworku, dając sobie jakoś radę w życiu, nawet bardzo dobrze, a moje ładne siostry wdychają tymczasem, ślęcząc nad nieprzydatnymi nikomu robotkami i wiedzą, oczekując mężów, o których w okolicy naszej bardzo trudno. Z tego jasno wynika, że i brzydota ma swoje dobre strony.

Dobry humor nie opuszczał nigdy Kornelii, zawsze była uśmiechnięta i miała na podorędziu jakiś żart dowcipny, wesołe opowiadanie lub ciętą odpowiedź. W walce o byt umiała sobie radzić niezłe. Wystarała się o lekcje i zarabiała tyle, że mogła zrezygnować ze skromnego zasiłku, który przysyłał jej rodzice.

Koledzy podrywali sobie z początku z jej brzydoty i pretensjonalnego imienia, musieli jednak uszanować jej zdolności i wytrwałą pracę, po bliższym zaś poznaniu ten i ów zaczynał ją lubić. Była tak koleżeńską, uczynną, narzucającą się niemal z przysługami, a przytem tak wesoła, dowcipna, że ostatecznie trzeba jej było przebaczyć tę brzydotę, która przecież nie była jej winą.

Uraz zdawała się nie pamiętać. Pewnego razu ofiarowała się sama z pożyczką koledze, znajdującemu się w chwilowych kłopotach finansowych, chociaż należał do tych, którzy jej dokuczali. Pisał nawet humorystyczne wierszyki o „pięknej Litwinie” i rysował karykatury Kornelii.

Zawstydzony kolega pożyczkę przyjął, ale od tego czasu przestał rysować karykatury, a o Witowtównie mówił, że to „pocziwa dziewczyna”.

Wśród koleżanek miała gorące zwolenniczki, bo trudno było o cierpliwszą powiernicę, wierniejszą przyjaciółkę.

Ludwik Rażycki poznał ją podczas zbiorowej wycieczki akademickiej w Pieniny. Na ogół znał on mało studentek, jako słuchacz prawa nie spotykał ich na wykładach, a poza gmachem uniwersyteckim nie szukał znajomości wśród koleżanek.

Nie lubił kobiet emancypowanych, jeżeli jednak czasem zwracał uwagę na jaką studentkę, to tylko na taką, która się wyróżniała urodą. Brzydkie kobiety nie istniały dla niego, chyba jako przedmiot drwin mniej lub więcej dowcipnych.

Jak się to więc stało, że przez cały czas owej wycieczki rozmawiał najwięcej z panną Kornelią Witowtówną i nie nudził się wcale w jej towarzystwie?